Rozmaitości

Dnia 19. Czerwca N.er 25. Roku 1841.

ŚPIÉWACZKA.

1.

W pięknym poranku miesiąca sierpnia 1826 roku przechodził pewien młody człowiek z marzącym wzrokiem i przyjemnym uśmiéchem na twarzy przez ulicę cichego przedmieścia *Saint-Germain* w Paryżu. Dziewczynka mająca lat niemal dwanaście, mąciła przez pustotę wodę w rynsztoku i nucąc wrotkę z pieśni gminnéj, zakończyła ją tak czystym wysokim tonem *A*, iż zachwyciła przechodzącego. Młody człowiek ten zatrzymał się, wlepił oczy w dziewczynę i zapytał: »Spiéwasz ty często moje dziécię?« — »Czasami.« — »Dobrze czynisz, bo masz głos bardzo piękny.« — »Do prawdy?« odezwała się dziéwczyna z pustym uśmiéchem. — »Umiesz ty muzykę?« — »Nie umiem.« — »A chciałażbyś się jéj nauczyć?« — »O! i owszem, ale jestem uboga.« — »Są takie szkoły, w których dzieci bezpłatnie pobiérają naukę.« — »Jabym chętnie chodziła do takiéj szkoły.« — »Czy daleko ztąd mieszkasz?« — »Tylko o kilka kroków.« — »Zaprowadźże mnie do swego domu.«

Po tych słowach młody człowiek poszedł za dziéwczyną, która skacząc z radości zaprowadziła go najprzód w sień bardzo ciemną, a potém do bardzo ubogiéj izby. Matka dziéwczyny siedząc w kącie była pracą zajęta. Młody człowiek powitawszy ją, dowiedział się, że oprócz téj córki ma jeszcze czworo dzieci, których jedyną jest podporą. Przedstawiał biednéj matce, że jéj córka do muzyki ma zdatność; lecz na wszelkie jego przedstawienia odpowiadała matka, że jest ubogą i że jéj nie może dać takiego wychowania. Nieznajomy oświadczył nakoniec, że córkę odda do szkoły śpiéwania, jeżeli mu jednę część swojéj władzy nad nią odstąpi. »I owszem, będę panu bardzo wdzięczną za tę łaskę«, odrzekła niewiasta ze łzami w oczach. Poczém nieznajomy pożegnawszy matkę, wziął z sobą dziéwczynkę.

2.

W tym samym czasie familija Bourbonów powróciła na tron francuzki. Do podrzędnych zakładów za czasów restauracyi, należała bezprzecznie pod przewodnictwem Aleksandra Chorona założona szkoła muzyki klasycznéj. Otworzona 1816, upadła 1830 roku razem z rządem, któremu byt swój była winna. Pomimo krótką trwałość swoję, miała jednakże wielki udział w owoczesnym muzykalnym popędzie i przyczyniła się niemało do upowszechnienia prawdziwych zasad tego kunsztu. Uczniowie i uczennice Chorona są obecnie ozdobą opery europejskiéj, i, jeżeli we Francyi jest jaki biegły nauczyciel śpiéwania, ten niezawodnie wyszedł z téj szkoły.

W czasie, w którym się nasza powieść zaczyna, miał Choron lat pięćdziesiąt. Byłto człowiek nizkiego wzrostu, pękaty, miał łysą głowę i przyjemną twarz, na któréj się powszechna życzliwość malowała. W oczach jego jaśniało życie, jenijalność i pustota. Kiedy szedł, miał zwyczaj ustawicznie poskakiwać, śpiéwać lub gwizdać, a potém nagle zatrzymać się i o czémeś myślić. I tak, nim przyszedł na zamierzone

miejsce, zawsze przynajmniéj dziesięć razy na drodze stanął, i coś układał. Wszystkie giesta jego były pełne ruchu; mówił z pośpiechem i zwykł był bić się ręką w czoło, jak gdyby z tamtąd jaką myśl chciał wykołatać. Obok tych śmiesznych nałogów posiadał rzeczywiste i wielostronne wiadomości. Był uczniem szkoły politechnicznéj, w któréj się zaszczytnie odznaczał. Jednakże czując w sobie nieprzezwyciężoną skłonność do muzyki, opuścił z wielkiém zmartwieniem rodziców swoich zawód, do którego był przeznaczony. Rzucił się bardzo późno do muzyki, gdyż miał przynajmniéj lat dwadzieścia i pięć, gdy mu Abbé Rosé lekcyje dawał. Znał się doskonale na głosie ludzkim i wiedział przez jaką wprawę takowy rozwinąć i udoskonalić można, był przytém ducha proroczego: I tak Duprez miał dopiéro lat czternaście i słaby głos dziecięcy, a Choron już mu wonczas powiedział: »Chłopcze, z ciebie w czasie pierwszy śpiéwak będzie!« Wreszcie był on tkliwy i nerwów tak drażliwych, że, gdy usłyszał muzykę, która się mu podobała, drżał na całém ciele, wzdychał a nawet rzewne łzy ronił.

Trzy razy w tygodniu zgromadzali się wszyscy jego uczniowie, których do stu było, w powszechnéj sali. W téj szkole wydarzały się zabawne wypadki! Choron podawał się każdemu chwilowemu uczuciu, przezco nieraz powadze swéj ubliżał. W salonie ministra giestykulował, śpiéwał, śmiał się i płakał podobnie jak w swoim własnym domu. Kochał wielu z swych uczniów, którzy go prawie ubóstwiali. Kunsztowi swemu z duszą i ciałem był oddany i w saméj rzeczy umarł z żalu, gdy rząd lipcowy jego szkołę uchylił. Co roku jeździł po kraju dla wyszukania uczniów, a gdy znalazł jakie dziécię mające głos przyjemny, rzekł: »Bardzo dobrze moje dziécię, twój głos jest prześliczny, jedź ze mną, będziesz szczęśliwe.« Z takiéj podróży wracał zwykle z kilkanaściorgiem dzieci, w drewnianych trzewikach, i témi słowy gościom je swoim przedstawiał: »W tych tu dzieciach widzicie wpanowie nadzieję Francyi!« To nam przypomina następujący wypadek z jego życia: Pomiędzy uczniami wyszczególniającymi się w szkole Chorona, było cztérech, to jest: Duprez, teraźniejszy sławny tenorzysta wielkiéj opery, Boulanger, Vachon i Scudo, których bardzo kochał i których zawsze stawiał na czele, gdy o szkole swojéj dobre chciał dać wyobrażenie. Już wtedy zwano ich artystami. Jeżeli go gdzie wezwano na festyn, ucztę albo wieczór, tam zawsze przybył Choron z témi czterma ewanielistami. Podczas świąt, gdy miał pieniądze, co w prawdzie niezawsze się zdarzało, chodził z nimi do restauratorni i częstował ich wszystkich, o co żona jego nieraz z nim swary wiodła.

Pewnego dnia przyszedł zadyszany do szkoły, i przywoławszy cztérech swych ulubieńców, rzekł: »Moi panowie, coś nowego! Niebezpieczeństwo grozi, trzeba się wziąć na siły! Minister królewskiego dworu złożył swój urząd, a miejsce jego zajął pan Lauriston, który przeciw naszéj szkole tak jest uprzedzony, że ją znieść zamyśla. Z trudnością wymgółem przecie, że nas piérwéj słyszeć będzie, nim ten okrutny zamiar wykona. Dziś pod wieczór mamy pójść do niego, a zatém śmiało; nabierzcie odwagi! Idzie tu o przyszłość waszę; rzecz ważna, nie tylko dla was, ale dla całéj Francyi; będziecie więc śpiéwać to, co najlepiéj umiecie, i co wam z serca płynie; najprzód każdy jednę aryję, ale tak, z serca, po waszemu, a potém dwa duety, ale tak, ognisto-zgodnie, wszak mię rozumiécie!... O, mój ty panie Laurystonie, kanibalu, chcesz nas zbombardować!... O nie, to ci się nie powiedzie, twoja srogość się stopi, skoro nas usłyszysz! A ci panowie w konserwatoryjum, pękać będą ze złości!« To mówiac, poskakiwał po pokoju, śmiał się i śpiéwał; słowem, ktoby myślał, że zwaryjował. »Wszystko pójdzie dobrze, mnie wierzajcie«, dodał po chwili. »Tylko czysto wychędożyć suknie, wyglansować buty, pięknie zaczesać głowę, kredą wytrzeć guziki, a nadewszystko nie jeść dziś dużo, słyszycie! Dla nabrania ochoty, każę wam dać po szklaneczce medoku.«

Cztérej uczniowie posiliwszy się tak oszczędnie jak im zalecono i włożywszy na głowę duże stosowane kapelusze, należące do ich munduru, wyszli z domu. Byłto

piękny wieczór lipcowy. Księżyc rozlał łagodne światło po wysokich drzewach bulwaru. Każdy z nich niosąc nóty w ręku, szedł w milczeniu za nauczycielem, który również nie mówiąc ani słowa, z spuszczoną w dół głową szedł naprzód. Nareszcie przyszli do królewskiego pałacu, pomieszkania ministra; ale jakże niespokojnie biło w nich serce, gdy odźwierny oznajmił, że pan Choron przyszedł z swymi uczniami.

Weszli do wielkiej sali, gdzie było około dwunastu osób. Jedna z nich imponującym głosem zapytała: »Czyto są wszyscy uczniowie wpana?«—»Wasza Excelencyja raczysz żartować, sąto tylko moi najlepsi, nadzieja Francyi!«

»A! czy tak?« odrzekł pan Lauryston z uśmiéchem.

—»Wasza Excelencyja natychmiast sam się o tém przekonasz«, rzekł Choron dobitnie. Potém wziął wszystkich cztérech za rękę i przedstawiwszy ich rzekł: »Oto *primo amoroso*, wskazując na Dupreza z széroką piersią; ten tu *gracioso,* ten *buffo cantante,* a ten intrygant na usługi Waszéj Excelencyi. A teraz panie Duprez i Scudo odśpiéwajcie wasze *duetto!*«

Obadwaj wezwani jakby się przegranéj nie lękając, przystąpili z śmiałą miną do fortepianu, na którym Panseron im towarzyszył, a nareszcie śpiéwać zaczęli. Nastała głęboka cisza, wszyscy obecni zwrócili na nich oczy. Po odśpiéwaniu kilku taktów, dał się słyszéć śród sali szmer pochwalny, który zachęcił śpiéwaków. Poczém nastąpił głośny oklask. »Prześlicznie!« rzekli obecni. —»A jużci że prześlicznie a nawet i doskonale!« ozwał się Choron ze łzami w oczach. »Jeszcze raz, z początku moje dzieci; wszystko idzie jak najpomyślniéj. — Francyja jest uratowana!« szepnął im do ucha.

Wieczór zakończył się równie szczęśliwie jak się był zaczął. Skacząc z radości i ciskając kapeluszami w górę, wyszli chłopcy z pałacu. Nie zniesiono instytutu śpiéwania i do téjto szkoły zaprowadzono dziewczynę, któréj koleje życia opisać zamyślamy.

3.

Dziéwczyna ta zwała się Rozalija Niva i nie miała w sobie bynajmniéj tego, coby pięknem nazwać można było. Była na swój wiek za wysoką i chudą, schodziło jéj także na uprzejmém znalezieniu się, jakie tylko dobre wychowanie nadać może. Jednakże miała zgrabną nóżkę, smukłą kibić, charakterystyczną, ruchawą twarz, czarne, ogniste oczy i wprawdzie nieco duże usta, ale na nich igrał uśmiéch łagodny. W piersiach jéj tlała iskra jenijalna, ale jeszcze nie była rozogniona i w prawidła smaku ujęta. Wszystko w niéj było do wykształcenia albo do przekształcenia. Żywa, roztargniona i do posłuszeństwa nieprzyzwyczajona, niechętnie ulegała władzy nauczycielskiéj. Należała ona do tych silnych charakterów, które dla mocnych namiętności stworzone, pod ścisłą karnością częstokroć najwyższy szczyt człowieczeństwa osiągają, a oddane samym sobie i zaniedbane, prawie zawsze na bezdroża zbaczają. Ta mięszanina dzikości i sztuki, te własności Rozalii Nivy, które jeszcze obojętnie i nieprzemożnie w niéj drzymały, zajęły mocno pana Ramier rozsądnego młodzieńca, który podówczas był nauczycielem w szkole Chorona. Przyjęto ją do instytutu i oddano pod szczególny dozór pana Ramier. Klasa pana Ramier składała się z dorosłych mężczyzn, chłopców i młodych dziewcząt; jednakże panował w niej najściślejszy porządek; nie wolno było wymówić ani jednego słowa, któreby grzészyło przeciw przyzwoitości. Ramier był bardzo ostry; lecz mając do czynienia powiększéj części z dziećmi bez wszelkiego wychowania, musiał wiele wymagać, by przynajmniéj cokolwiek do skutku przywiódł.

Piérwsze lekcyje, które pan Ramier dał Rozalii, były rzadkie w swoim sposobie. Przedstawiwszy ją uczniom swojéj klasy, rzekł do niéj: »Rozalijo, zapewne niemało ci złego o mnie powiadano, ale przekonasz się, że to wszystko było potwarzą. Na jutrzejszą lekcyję nic więcéj ci nie zadaję, jak tylko to jedno, abyś sobie twarz umyła, a potém o reszcie pomyślimy.« Na te słowa wszyscy rozśmiali się uczniowie. Drugiego dnia wystąpiła dziéwczyna cokolwiek czyściejszą. »Teraz«, rzekł Ramier, »gdyś twarz już oczyściła, zajmiéjże się jeszcze oczyszczeniem rąk swoich; lecz żebyś porządnie je wymyła, daję ci na to ośm dni czasu.

Wycieraj i myj co masz siły, nie szczędź mydła i wody; później poznasz, że to czynisz dla swego dobra.« — Po upływie dni ośmiu dziewczyna całkiem się odmieniła; zęby miała jak kość słoniowa białe, z wdziękiem ułożona chustka na szyi, włosy zaczesane troskliwie, piękna kibić ozdobniéj uszczuplona, słowem, wszystko inną postać przybrało i ocknął sie instynkt niewieści. Wtedy dopiéro zabrał się Ramier do muzycznego jéj ukształcenia. Mogąc zarządzać nią podług swéj woli, trzymał ją pod surowym dozorem, wyznaczył godziny do nauki i żądał ścisło zdania sprawy z użycia każdéj chwili. Wszystko, co młoda dziéwczyna czyniła, działo się pod jego dozorem; nikt nie mógł uchylić jéj z pod jego bacznego oka i tak matka jak i Choron nie czynili mu w tym względzie żadnych przeszkód. Liczne w ścisłym porządku po sobie następujące ćwiczenia, nadały głosowi Rozalii przyjemnéj dźwięczności a Ramier uradowany z tego powodu, nie na saméj tylko muzyce ograniczył swoje staranie. Rozum młodéj Rozalii naginał się do wszystkiego; pojmowała z łatwością i pamiętała wszystko, czego się uczyła. Lecz tylko z wielkim trudem i nie bez wylania łez z jéj strony powiodło się poskromić cokolwiek jéj charakter; musiano nawet użyć surowych środków dla przyzwyczajenia jéj do posłuszeństwa i regularnéj pracy. Nieraz okazywała się bardzo krnąbrną, nieraz zagrażała, że do dawnéj niepodległości wróci; lecz Ramier był niengięty i niezbłagany, trzymał ją ustawicznie pod jarzmem swojéj woli. Z tém wszystkiém był on dla niéj niezmiernie dobroczynny; poświęcał jéj cały swój czas, zaniedbywał swe własne sprawy, aby tém staranniéj zajmować się jéj wykształceniem, załatwiał jéj potrzeby, przyodziéwał ją, a nawet kupił jéj fortepian i dzieła muzyczne, słowem był jéj opatrznością.

Tak wyrosła Rozalija pod dozorem swojego opiekuna; jużto nie była owa uboga siérota, którą Ramier na drodze znalazł, lecz przyjemna dziewica, mająca chybką kibić i umiejąca nietylko pięknie się znaleźć, ale nawet poprawnie mówić i pisać. Ramier nie mógł na nią spojrzéć, aby nie był uczuł jakowejś dumy; nie mógł słyszéć jéj pochwał, aby w duchu sobie nie pomyślił, że ona to wszystko jemu jest winna, że on ją stworzył. Gdy w około niego rozchodził się szmer: »Co za powabna dziéwczyna, co za czucie, jaki talent!« — skakało w nim serce z radości. Podczas lekcyi, gdy przy nim śpiéwała, wlepiał w nią Ramier swoje oczy; z zachwyceniem przysłuchiwał się jéj śpiewaniu, wstrzymywał w sobie oddech z obawy utracenia aby jednego tonu, którego ją nauczył. Wszak Rozalija była dziełem rąk jego, wizerunkiem jego samego, odgłosem jego duszy. Jakimże urokiem nie zachwyca nas rozwijający sie rozum, który nam swoje życie zawdzięczał Jakoż Ramier zmienił się, zaczął inaczéj obchodzić się z swoją wychowanicą; nie mówił już do niéj ostrym, rozkazującym tonem. Łagodnym, pokornym głosem dowiadywał się o jéj zdrowiu, skłonnościach i życzeniach. »Rozalijo«, mawiał do niéj, »widzę, że w téj aryi masz upodobanie; nie chałażebyś jéj zaśpiéwać?«

Dziwna zmiano serca ludzkiego! Ramier, który na wykształcenie téj młodéj dziéwczyny, przełamanie jéj uporu i przyzwyczajenie do ślepego posłuszeństwa, poświęcił trzy lata swego życia, Ramier, który z nieokrzesanego dziécięcia uformował powabną, utalentowaną, przyjemną, jenijalną dziéwicę, ten sam Ramier po osiągnieniu celu życzeń swoich, patrząc na dokonane dzieło swoje, sposępniał i oddał się smutkowi. To posłuszeństwo, ta uległość, ta uprzejma łagodność uczyniły go nieszczęśliwym i zadumanym. Wolałby widzieć był w niéj cokolwiek dziwactwa i uporu; życzył sobie, aby Rozalija nie miała sobie za powinność słuchania wszystkich jego rozkazów, bez wszelkiego użalania się na jego ścisły dozór; byłby ją rad widział swoją równą—swoją małżonką. Spostrzeżono to wkrótce, że Ramier w pannie Rozalii był zakochany. Uboga dziéwczyna, którą w tak ścisłym rygorze wychował, z którą tak ostro się obchodził, owładła jego serce tak dalece, że się już oprzéć nie zdołał. Jak ów Pigmalijon przed dziełem ręki swojéj, padł na kolana. Miłość, namiętność jego była tém mocniejsza, ileże się nie ważył jéj objawić. Mógłże przekroczyć granicę, która go z Rozaliją dzieliła? Mógłże dla wynurzenia przed nią najtkliwszych uczuć swoich, złożyć z siebie powiérzchowność prawie ojcowskiéj władzy? Mógłże zaniechać téj surowéj, poważnéj roli, jaką dotąd przed nią odgrywał, dla rzucenia się do nóg młodéj dziéwicy, która już na sam widok jego z przestrachu drżała? Niva, która Ramierowi wszystko była winna, ku niemu równie bojaźnią jak i uszanowaniem przejęta, jakżeby przyjęła była wynurzenie uczucia, którego się w swoim dobroczyńcy bynajmniéj nie spodziéwała? Miłość, jestto bożek zazdrośny, żąda niepodległości i pięknémi moralnémi oświadczeniami przekupić się nie da.

Tymczasem Niva czyniła z każdym dniem coraz nowe postępy; przewyższyła wszelkie oczekiwania Ramiera. Z łatwością do zadziwienia pojmowała duszę i najdelikatniejsze odcienia kunsztu. Jak w lekkiéj muzyce umiała być tkliwą, czułą i do serca mówiącą, tak przeciwnie w scenach

traicznych, była majestatyczną i pełna namiętności. Pięknemu jéj głosowi, wyrazistéj twarzy i szlachetnéj postawie dziwili się wszyscy, którzy ją śpiéwającą słyszeli. W towarzystwach obsypywano ją darami, a wtedy ze łzami w oczach zwykła mówić do Ramiera: »Ach, wpanu jedynie, winnam to wszystko!« Ramier odpowiadał na to ściśnieniem ręki, w którém wszystkie uczucia swego serca zamykał.

Już trzy lata zostawała Niva w instytucie Chorona, a ten jéj nigdy jeszcze śpiéwającéj nie słyszał. Jednego dnia rzekł nareszcie do Ramiera: »A kiedyżto usłyszę twoję jenijalną śpiéwaczkę, którą się tak chlubisz?« Z mowy téj poznać można było, że zawistne towarzyszki Nivy uprzedziły przeciwko niéj Chorona. Wyznaczono dzień, w którym Rozalija śpiéwać miała. Byłto imponujący widok i festyn dla całéj szkoły. Każdy nauczyciel wystąpił z swoją klasą przed przełożonym instytutu, który chwalił lub ganił. Jednakże uczniowie mniéj się obawiali nagany Chorona niż krytyki swoich spółuczniów. Sam uśmiéch, szept i wzrok szyderski wprawiał ich w największą trwogę i pomieszanie. Zwłaszcza dziéwczyny nie mogły na sobie przenieść, aby przed swémi spółzawodniczkami słabszémi się okazały, i zdarzało się nieraz, że niejedna z nich ze wstydu zemdlała, gdy się jéj w śpiéwie nie powiodło. — Byłoto w sobotę roku 1829, gdy Niva przed wszystkimi uczniami szkoły Chorona po raz piérwszy wystąpić miała. Zgromadzili się wszyscy, a nawet kilka dam znających romantyczną przygodę młodéj dziéwczyny, życzyło sobie słyszéć ją śpiéwającą. Ciekawość była powszechna i mocno natężona. Chciano się przekonać o postępie trzechletniéj nauki i każdy mniéj więcéj sprzyjający młodéj artystce, w tym dniu odwidził szkołę.

Nareszcie rzekł Choron do Ramiera: »Jesteśmy gotowi« — a Niva prowadzona pod rękę przez swego nauczyciela, wystąpiła na podwyższenie; na widok zgromadzenia zadrżała na całém ciele, pierś jéj się wzniosła, a śmiertelna bladość osiadła na jéj twarzy. Prawie również wzruszony siadł Ramier do fortepianu, i wziąwszy kilka akordów, rzekł z cicha do Nivy: »Tylko odważnie!« Niva zaczęła śpiéwać piękną aryję Nicoliniego:

Or che son vicino a te,
Stanca son di palpitar.

Gdy przyszła do pięknego miejsca: »*tanto amore et tanta fe*«, zagrzmiały huczne oklaski. Choron wybiegł na podwyższenie, rozpłakał się jak dziecko, objął śpiéwaczkę za szyję, zaczął całować i nie mógł ani słowa przemówić. Wszyscy uczniowie powstali z własnego popędu w znak uszanowania dla talentu. Ramier spuściwszy wzrok na klawisze swojego instrumentu, starał się przytłumić uczucie, które nim miotało; lecz Niva wyrwawszy się z objęcia Chorona, objęła ramionami swego dobroczyńcę. Brawo! Brawo! Brawo Ramier! Brawo!! zawołano ze wszech stron. Byłato najtkliwsza scena, najpiękniejszy dzień w życiu Ramiera.

Na ten popis zamilkły wszystkie jéj zawistne spółzawodniczki. Choron nie mógł się jéj dosyć nachwalić. Lecz jeszcze więcéj niż ten postęp w muzyce po trzech-letniéj nauce, podziwiano resztę jéj ukształcenia. Obecni goście nie mogli się dosyć wydziwić, jakim sposobem dwudziesto-cztéro-letni młodzian dziéwczynę, na którą drudzy nauczyciele bynajmniéj nie zważali, w przeciągu lat trzech w ułożoną, skromną i przyjemną osobę przemienić zdołał.

4.

Od niejakiego czasu wstąpił do klasy Ramiera nowy uczeń nazwiskiem Rifaut, młodzieniec mający lat ośmnaście, twarz przyjemną i któremu nie zbywało na wychowaniu. Ten skoro zobaczył Nivę, zaraz się w niéj zakochał. Od tego czasu nie spuszczał z niéj swych oczu. Ramier spostrzegł to wkrótce i jak sobie wyobrazić można, zmartwił się tém do żywego; starał się wszelkiémi sposobami stłumić w samym początku ten stosunek miłosny; lecz mu się nie powiodło; środek, którego użył, pogorszył złe jeszcze bardziéj i zamiast oddalenia katastrofy, przyspieszył jéj rozwinięcie.

Jednéj niedzieli w miesiącu maju 1830 roku, pewna osoba znajoma, zaprosiła Ramiera razem z Nivą na obiad. Niva wymówiła się, że jest słabą. Ramier poszedł sam, ale stroskany słabością swéj wychowanicy, usunął się zaraz po skończonym stole i udał się w ulicę, przy któréj Niva mieszkała. A że była piękna pogoda, szedł więc przez bulwar inwalidów. Działo się to o godzinie ósméj pod wieczór. Ramier niósł w ręku duży bukiet dla Nivy. Aż oto niespodzianie spostrzega dwie osoby naprzeciw niemu idące. Na ten widok zasępiły się jego oczy, zadrżały pod nim kolana... Poznawszy Rifauta prowadzącego Nivę pod ramię, tak go siły opuściły, że aż się o drzewo oprzéć musiał.

Trudnoby opisać było uczucia Ramiera w téj chwili, żałość jego była tego rodzaju, że łzami ulgi sobie sprawić nie mogła. Po upływie chwil kilku, zebrał w sobie wszystkie siły i poszedł. Odtąd zniknęła dla niego wszelka nadzieja. Odtąd nie mówił już nigdy z swą uczennicą, nie czynił jéj żadnych wymówek, i z równą starannością jak przedtém udzielał swoim uczniom

nauki, jak gdyby się nic nie wydarzyło. W kilka miesięcy późniéj wszczęła się rewolucyja lipcowa, która zniosła instytut śpiéwania; w czternaście dni późniéj wyjechał Ramier z Paryża.

Od pół roku zamieszkał w miasteczku o 25 mil od Paryża, gdy jednego razu tamże pewna młoda śpiéwaczka z swoją matką przybyła. Zamyśliła dać koncert, i wszędzie z wielkim zapałem mówiono o jéj talencie. W dniu oznaczonym sala koncertowa przepełniona była publicznością. Ramier przybył najpiérwszy i zajął miejsce naprzeciw fortepianu. Po symfonii odegranéj przez dyletantów, wystąpiła młoda śpiéwaczka. Na afiszu koncertowym zapowiedziano aryję Nicoliniego, którą niegdyś Niva często śpiéwała. Młoda artystka niezrażona bynajmniéj liczną publicznością, przystąpiła śmiało do fortepianu i przyjemnym głosem zaczęła śpiéwać piękne *adagio: »Or che son vicino a te«* — lecz za jednym razem nagle umilkła; jéj usta drżały, twarz zbladła; usiłowała jeszcze raz zacząć, ale nadaremnie; siły ustały. Oczy jéj zalały się łzami. Ramier spostrzegłszy, że jest blizka omdlenia, poskoczył czémprędzéj i wziąwszy nóty z jéj ręku, zaczął zamiast niéj śpiéwać:

Or che son vicino a te
Stanca son di palpitar,

tak czułym wyrazem, iż całą publiczność rozrzewnił. Koncert przerwanym został. Śpiéwaczką tą była Niva, poznała ona Ramiera, który odśpiéwawszy aryję natychmiast wyszedł z sali, a nazajutrz miasto opuścił.

5.

W lat dziesięć po tym wypadku dano w *academie royale de musique* nową operę, na którą cały Paryż się cisnął. Pewna od publiczności powszechnie ulubiona śpiéwaczka, odniosła w niéj najświetniejsze tryjumfy. W jednéj bardzo dramatycznéj scenie czwartego aktu, w ciemnym kącie orkiestry słyszano głośno łkającego człowieka — byłto Ramier, który gorzko zapłakał, ujrzawszy Nivę jako *primadonnę,* która już nazwę *Rozyny Stolz* przybrała.

ODPOWIEDŹ NA WIEŚ.

Pytasz mię listem: »jak się mi powodzi,
»Że żyję« mówisz, »nic daje i znaku?«
Wszakże masz tartak —, jeżli cię obchodzi:
Los mego życia ujrzysz w twym tartaku.
Byłem ja dębem — zmieniono mię w kłodę.
Z pnia mego ścięty, zmarła we mnie siła!
Puśćże na koło teraz z stawu wodę —
Widzisz, jak w kłodę ostro idzie piła!

DO PANA PIOTRA.

Mój panie Pietrze, wiém ja o tém dobrze,
Żeś taki w maju, jakiś i w oktobrze;
Po tobie żadne nie zostaną czyny,
Ty nié masz zasług, ty nie masz i winy;
Więc się nie gniewaj, bo to prawda złota:
Ty nam tłómaczysz, co to jest niecnota.

CHIŃCZYKOWIE NA WYSPIE JAWIE.

Około sto tysięcy Chińczyków mieszka na wyspie Jawie, a ilość ich z każdym dniem wzrasta. W ogóle powiedzieć można, że corocznie przeszło 7000 Chińczyków w indyjskim Archipelagu, a więcéj niż trzecia część na wyspie Jawie osiada. Większa część ich przybywa z Kantonu i okolic przyległych, sami mężczyźni; nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby osadnik chiński wywiózł z sobą żonę z ojczyzny. Takiego wychodźca chińskiego porównać można tylko z europejskim zawód swój rozpoczynającym Żydem. Opuszcza on ojczyznę w zamiarze uzbiérania majątku, którego w późniejszych latach w ojczyźnie swéj spokojnie używać zamyśla. Całe wyposażenie jego składa się z sukni, którą ma na sobie, lekkiego materacu, na którym sypia, kosza z suszonémi owocami, albo jakiéj innéj drobnostki, którą zaraz po wylądowaniu swojém, spieniężyć usilnje. Przeprawa, za którą się do Jawy 5—6 szylingów płaci, zwykle mało co go kosztuje, gdyż rzadko się zdarza, aby Chińczyk wysiadłszy z okrętu, zapłacił swemu ziomkowi należytość, dla zabezpieczenia sobie nadal jego przysługi. Chociaż ci wychodźcy zazwyczaj są biédni i ubodzy, jednakże bardzo rzadko znajdziesz między nimi takiego, którýby pisać i czytać nie umiał, i dla tego drobiazgowi kramarze chińscy w Batawii, prowadzą z taką regularnością swoje księgi, jak największe domy handlowe w Londynie lub Hamburgu. Są to nadzwyczaj czynni, pracowici i zarobkowi ludzie, i oraz tak chciwi zysku, że bez sumienia oszukują, jeżeli tylko mogą. Przywłaszczyli sobie prawie wszystkie rzemiosła, a mianowicie ciesiołkę, mularstwo i kowalstwo, gdyż tamtejsi krajowcy i Malaje, z powodu, że są mniéj zdolni, a Europejczykowie dla nieznośnego klimatu, nie mogą z nimi iść w zawody. W uprawianiu roli i ogrodnictwie tak w holenderskich jak angielskich osadach, rzadko im kto wyrówna, i tak prawie wszystkie plantacyje i fabryki cukru na wyspie Jawie są w ich ręku, równie jak i kopalnie złota na wyspie Banda do nich należą. Z tém wszystkiém najgłówniejszém źródłem zarobkowania ich, jest łatwowierność i prostota Jawańczyków, z których każdy jak

dziecko niecierpliwy jest, gdy mu się jakowa rzecz podoba. Przebiegły Chińczyk daje mu na kredyt, a gdy nadejdzie termin wypłaty, Chińczyk za 50 procentu, przedłuża kredyt, i tak postępuje coraz daléj, aż nareszcie cały majątek dłużnika zagrabia. Dla zabieżenia temu złemu, nie pozwala rząd holenderski Chińczykom z krajowcami mieszkać razem, lecz Chińczykowie i ten przepis udaremnić umieją, a to przez połączenie się z jawańskiémi niewiastami, które zawsze tylko na oznaczony czas od 1 do siedmiu lat za mąż idą. Rzadko się zdarza, aby Chińczyk nie uzbiérał sobie znacznego majątku, gdyby się w to nie mięszała zaciekłość do gry azardownéj; gdyż częstokroć przegrywa on jednéj nocy w *pho* i *topho*, grę podobną do *rouge et noir*, to wszystko, na co kilka miesięcy pracował. — Obok tego szalbierstwa, niewierności i nieuczciwości Chińczyków, zupełnie przeciwny obraz przedstawiają mieszkańcy wyspy Jawy: Maurowie i Arabowie. Sąto powiększéj części złotnicy i jubilery, których Jawańczykowie z powodu głębokiéj ich nauki w religii machometańskiéj, prawie za rodzaj wyższych istot mają.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 24. i obejmuje: 1) Zasady służące do ułożenia systematu polowego. (Ciąg dalszy.) 2) Obrywanie kwiatu kartoflowego. 3) Nowy sposób oswobodzenia kapusty od gąsienic. 4) O chodowaniu jedwabników. (Ciąg dalszy). 5) O powstaniu i wykształceniu się choroby jagnięcéj, bąkowej czyli osiéj poczwarki i t. d.

Ner. 11. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Romans jakich wiele. 2) Kolumb, z Szyllera. 3) Wiérsz do Tadeusza i Julii, przez J. Podoleckiego. 4) Meyerbeer. 5) Rozmaitość.

Historyja bladéj dziewczyny z pod Ostréj Bramy, powieść czwarta z kolei *Szkiców obyczajowych i historycznych* J. I. Kraszewskiego. Wilno 1841. Czuła historyja siéroty, wychowanéj w ufności religijnéj i mocnéj wierze, dzieje kształcenia się jéj umysłu i serca, uwieńczone najczystszą miłością. Zdaniem naszém powieść tę co do psychologicznego stopniowania i rozwinięcia uczuć, co do świeżości pomysłów i lekkości prawdziwie uroczego stylu, kładziemy zaraz po *Poeta i świat*, i zaléca się ona tem szczególniéj, że w prostéj, tylko z dwóch osób złożonéj osnowie, tyle zajmujących aczkolwiek zupełnie zwyczajnych mieści sytuacyj, i bawi ciągle bez wyszukiwania dziwnych wypadków i sprężyn romansowych. Jestto sielanka opromieniona barwą dziewiczéj poezyi i niewinnéj szczéroty, obok szczytnych skutków prawdziwéj cywilizącyi. *S. J.*

Warszawa, która już od dwóch lat wydaje piękny *Noworocznik*, z pism samych dam złożony, w któréj pismach czasowych pojawiają się nieraz jędrne pióra niewiast artykuły, jak np. panny Ziemęckiéj, ogłasza teraz wydanie kilku dzieł przez kobiéty napisanych: a) romans historyczny *Czarna Mara*, znanéj autorki Anny Nakwaskiéj, z wizerunkiem Stanisława i Janusza książąt Mazowieckich; b) *Powieści* Pauliny z L. W. w 2ch tomach p. t. *Wieś i miasto*; c) *Poezyje* Józefy Prusieckiéj.

Pan Józef Paszkowski, znany z ładnych poezyj, umieszczanych mianowicie w *Biblijotece warszawskiéj*, przełożył z dzieł Byrona: *Manfreda* i *Kaina*.

Sceniczne Towarzystwa w Królestwie Polskiém w tych dniach, są następujące: Z Krakowa przybyłe do Kalisza, w czasie zjazdu święto-jańskiego, bawić będzie publiczność doborem dzieł. JP. Stobiński znajduje się w Olkuszu. — JP. Popiołek wystawił w Lublinie teatr letni w ogrodzie Wajgarta. — Z Płocka JP. Łoziński ma z swojém towarzystwem wyjechać 10go b. m. do Poznania. — W Sierpcu jest towarzystwo JP. Nowińskiego. — W Tomaszowie za Rawą, JPP. Piotrowski, Holzmann, Kłyszyńska i Królikowska. — Z Radomska JP. Raszewski już wyjechał do Częstochowy. — W Biały jest JP. Krajewski. — Z Krasnegostawu JP. Okoński z swém Towarzystwem ma wyjechać do Hrubieszowa, gdzie już doznawał miłego przyjęcia; zkąd ma jechać do wód nad Niemnem, ściągających wiele gości dla poratowania zdrowia. *(K. W.)*

Z Berlina. Przed kilku dniami sławny obraz *bitwy pod Waterloo* pędzla Steubena, kupiła hrabina Potocka, w salonie któréj obraz ten teraz na widok publiczny wystawiony. Hrabina dała za to arcydzieło sztuki 800 luidorów. Król Jego Mość już 700 artyście ofiarował był, ale ten sumy téj nie przyjął. Słychać, że ta majętna pani obraz ten dla galeryi narodowéj polskiéj w Poznaniu przeznaczyła, aby życzenie wynurzone przez ostatnie Stany W. Księztwa względem założenia muzeum sztuk pięknych w Poznaniu uprzedzić. (?) *(G. P.)*

Paryż zostaje znacznie powiększony, w bliskości pałacu Luxemburskiego zakładają dwa nowe okręgi pod nazwiskiem: *Miasto Napoleon*, *Miasto Maryja Amalija*.

Choroby wynikające z tak zwanych więzień sylencyjalnych. Dnia 10. maja b. r. odbyło się w Londynie zgromadzenie Aldermanów w zamiarze rozpoznania ważnych uwag, które członek tegoż zgromadzenia pan Laurie pod względem istnącego tamże w niektórych miejscach nowego systemu pokuty przedłożyć zamyślił. Członek ten udowodnił, że chociaż więzienie w Koldbath ciągle około 1400 do 1500 więźniów liczy, przecież takowe nie oddało dotychczas żadnego pacyjenta do domu obłąkanych w Bedlam, gdy przeciwnie nowe więzienie pokuty, liczące w przecięciu tylko 361 osób, bardzo często pacyjentów do nadmienionego szpitala oddaje, z czego wnosić można, że w tém więzieniu panujący system, wielce się do obłąkania zmysłów przyczynia.*) Pan Lukas uczynił uwagę, iż wszyscy oświeceni lékarze, z którymi w téj mierze mówił, byli tego zdania, że samotne zamknięcie, zwłaszcza jeżeli z wielkim rygorem jest utrzymywane, bardzo często do obłąkania zmysłów prowadzi. Następnie udowodniono, że okrągłe celije bardziéj ducha zasmucają, niż czworoboczne; równie jak i to w więzieniach pokuty zaprowadzone prawidło: iż żadnemu więźniowi słowa głośno wymówić nie wolno, że w kaplicy głowę swoję ustawicznie w jedno miejsce zwróconą mieć musi, a nakoniec, że niektórzy pod zaostrzeniem kary na krawędziastych ławkach siedzieć muszą, wszelkiéj ludzkości się sprzeciwia i że przeto o uchyleniu tego systemu kary, szczerze pomyśleć wypada.

Artystowska familija książęca. Jedną z najsławniejszych osobliwości tak dla krajowców jako też i zagranicznych we Florencyi (tak pisze jeden z tamtejszych korespondentów w *Gazette de London*) jest bezprzecznie osiadła w stolicy toskańskiéj familija księcia Józefa Poniatowskiego, która w owym kraju słusznie nazwę *famiglia artistica* otrzymała. Członkowie jéj są to

*) I tak okazuje się, że to ostatnie w skutek wynikłego przez system sylencyjalny obłąkania zmysłów, w roku 1838 cztery, w roku 1839 trzy, w roku 1840 pięć, a w obecnym roku, już znowu pięć osób do Bedlamu oddało.

istotni wirtuozy w muzyce i śpiewie, pracują zaszczytnie w malarstwie i rzeźbiarstwie i wydali już kilka kompozycyi dramatycznych, do których książę Józef partytnrę napisał. Hotel ich we Florencyi jest powszechném zgromadzeniem wszystkich podróżujących uczonych, kompozytorów muzyki i badaczów starożytności, a na domowym teatrze ich bywają często przedstawiane opery, w których wszystkie role grywa familija książęca, orkiestrą zaś zarządza pewien daleki téjże familii powinowaty. To się wydarzyło mianowicie w operze: *Lucrecia Borgia* początkiem zeszłego miesiąca w Bononii, gdzie nadmieniona familija w wycieczce podług rzymskich zwyczajów, na domowej scenie jednego z tamtejszych kawalerów wystąpiła.

Śmierć pani Boivin doktora. Dnia 16. maja rozstała się z tym światem w Wersalu pani Boivin, należąca do *femme celebre* we Francyi, która w akuszeryi i medycynie tak była biegłą i uczoną, iż uniwersytet paryski nadał jéj w tym wydziale stopień doktora, a rząd mianował ją najwyższą nadzorczynią *de maternité* (domu położnic) i tamtejszego szpitalu rekonwalescentów. Była ona autorką *du memorial des accouchements* i innych ważnych dzieł podobnéj treści; została później członkiem różnych uczonych towarzystw we Francyi i za granicą i dożyła tego zaszczytu, iż od jednego z najświatlejszych profesorów w uniwersytetach niemieckich, podczas rozbierania jej rozpraw, głęboko uczonym mężem (*vir doctissimus*) nazwaną została.

Wellington i Napoleon. Już nieraz uczyniono uwagę, zawiéra jeden dziennik angielski, że dwaj najsławniejsi mężowie upłynionego wieku, to jest: Napoleon Bonaparte i Wellington, w niektórych chwilach swego życia, równie jak i w swych zdaniach, wielkie podobieństwo do siebie mieli. I tak Wellington w swobodnych chwilach mawiał często do osób, z któremi miał zażyłość, że jest najszczęśliwszym z śmiertelnych i że się urodził pod wpływem nadzwyczajnéj gwiazdy, która się nim opiekuje; Napoleon wierzył mocno, że jego ciało zranionem być nie może, z czego wielu owę niewzruszoną obojętność w najwidoczniejszych niebezpieczeństwach tych obudwóch mężów wytłumaczyć sobie usiłowało. Napoleon i Wellington urodzili się w jednym roku: obadwaj byli największymi wodzami swego czasu i obadwaj jako przeciwnicy los świata w obecnym wieku rozstrzygali. Podczas oblężenia St. Jean d'Acre gdy bomba padła przed nogi Bonapartego, a ten uniesiony żądzą sławy, przed oczewistą śmiercią na krok nie uchylił się w reducie, grenadyjer powalił go na ziemię i nakrył go sobą; téjże samej chwili roztrzaskała się bomba i zraniła niebezpiecznie ramię wybawcy naczelnika. Wellington widząc konieczną potrzebę obejść pewne przez Francuzów zajęte stanowisko, stanął pod Wittoryją 1812 roku na czele brygady, i szedł przez *chaussée*, którą ogień kartaczowy z ośmdziesięciu w bateryi ustawionych dział bez ustanku oczyszczał, na nieprzyjacielskie *centrum*. Bohatér angielski utracił dwie trzecie części tak w poległych jak i w rannych, sam zaś wyszedł nieuszkodzony, co podług jego mniemania inaczej być nie mogło. Gdy pierwszy konzul Napoleon dowiedział się o machinie piekielnéj, pojechał do teatru, pomimo przestrogi swych stronników, w tém mniemaniu, że prochem napełniona beczka rozsadzi się, zanim on do wiadomego miejsca zamachu się dostanie: ale woźnica pierwszego konzula upiwszy się przypadkiem, zaciął konie tak żywo, iż szybkością swoją zniweczył zamach spiskowych, gdyż Bonaparte zajechał do domu opery, nim jeszcze machina piekielna pękła. Na moście w Santarem pisał Wellington *memorandum*, chociaż nieprzyjaciel już całą włość był otoczył, a gdy go nieprzyjaciel tam spostrzegł, zaczęły trzy kompanije francuzkich woltyżerów dawać ognia do niego; dowódca angielski rozwinął ozięble swoję mapę, porównał stanowiska, poczém wraz z bębnem, który mu za pulpit służył, cofnął się spokojnie przed nieprzyjacielem. Gdy w rozpaczliwéj utarczce pod Brienne roku 1814 w niedostatku artylerzysty, Napoleon sam nabijał armatę i widział, że żołnierze około niego ciągle padają, tym, którzy go napominali, aby swego życia ochraniał, odrzekł: że kula, która go ma zabić, jeszcze nie jest ulaną. Byłżeto zabobon lub przeznaczenie?

Za prędko pochowany. Dziennik: *Echo de la Nièvre* opowiada wypadek następujący: Pewien mularz zachorował nagle przy robocie i umarł. Po upływie trzydziestu sześciu godzin przystąpiono do pogrzebu, włożono go w trunnę, jednakże jedna staruszka dostrzegłszy niejaką jędrność w jego ciele, co się u umarłych nie zdarza, sprzeciwiała się temu. Z tém wszystkiem zamknięto trunnę i zawieziono na cmentarz. Ale gdy grobarz zaczął rydlem rzucać w grób ziemię, usłyszał ponury głos dobywający się z trunny. Wyciągniono ją natychmiast, otworzono, i okazało się, że pogrzébany jeszcze oddychał. Miał on tyle siły jeszcze, że kolanem jednę deskę z trunny wysadził. Jednakże dla spóźnienia pomocy lekarskiéj, tlejący w nim płomyk życia do reszty zagasł. Podobne wypadki czytamy często w pismach publicznych, i sądzimy, że powinnością jest naszą dla przestrogi zwracać na nie uwagę publiczności.

Heroiczna wdowa. Jedna z najbogatszych elegantek w Paryżu, która od lat kilku była wdową, oznajmiła niedawno licznym swym zalotnikom, iż postanowiła, wejść powtórnie w związki małżeńskie. Zamysł ten oświadczyła publicznie na strzelnicy pana Lepage, dokąd ta dama przebrana po męzku, codziennie się udaje, dla wystrzelenia kilka razy do celu. W krótkim czasie przybyła znaczna liczba wzdychających Adonisów, którzy o pierwszeństwo się dobijali. Atoli zapał zdawał się znacznie w nich ostygać, gdy młoda wdowa oświadczyła, że tylko temu odda swą rękę, który się odważy na trzydzieści kroków trzymać zegarek, a ona go wystrzałem z pistoletu roztrzaska. Tylko jeden pan F***, najodważniejszy czyli najzakochańszy z wszystkich, poddał się téj ogniowéj próbie. Stanąwszy na trzydzieści kroków przed damą, dobył swój zegarek z kieszonki, wyciągnął rękę i czekał strzału: nie długo trwało, zegarek rozleciał się w kawałki, a kochankowie uściskali się z radości.

Sprostowanie.

W artykule: *Dwa dni z życia Elżbiety Drużbackiéj*, w przeszłych »Rozmaitościach« na stronicy pierwszéj, przedziałce 2giej wierszu 5tym od dołu, miasto przeoryna, czytaj: *przeorysza*. Wreszcie w całym artykule sprostować należy, że *Jadwiga Kowalska była bratanką, nie zaś siostrzenicą Drużbackiéj*. — W Nr. 23. tegoż pisma w artykule: *O Literaturze klasycznéj*, na str. 185. przedział. pierwszéj, wierszu 12. od góry, zamiast: *która z przeznaczenia swego zawsze jest podręcznym, ale nie głównym środkiem, ale nie zamiarem*, czytaj: *która z przeznaczenia swego zawsze jest podręcznem, ale nie głównem; środkiem ale nie zamiarem.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.